

Pierwsze dni na Półwyspie Kenai

cz. I relacji z wyprawy na Alaskę

Na drugi dzień po przelocie z Polski na Alaskę, trwającym notabene ponad 28 godzin, obudziłem się względnie wypany, po czym przez okno zobaczyłem, że całe niebo zasnuwane jest ciężkimi, ołowianymi chmurami. Prawdę mówiąc myślałem, że po tak długiej i wyczerpującej podróży będę spał jak zabity przynajmniej do godziny dziesiątej, tymczasem o ósmej byłem już na nogach. Po wizycie w łazience, gdzie doprowadziłem się do należytego porządku, zszedłem na parter szukając gospodarzy domu. Douglas i jego żona byli już w kuchni i jak się okazało czekali na mnie ze śniadaniem. Byłem głodny jak wilk więc błyskawicznie spalaśzowałem duży talerz jajecznicy wraz z kilkoma kromkami chleba oraz gorącą herbatą. Chwilę porozmawialiśmy, podziękowałem sympatycznej pani za gościnę (przy okazji zadzwoniłem do Polski poinformować rodzinę, że jestem cały i zdrowy), po czym wsiedliśmy z Douglasem do samochodu i pojechaliśmy do siedziby parku.



Fot.52 Zabudowania Anchorage

Po drodze, patrząc zza mokrych od deszczu szyb samochodu, miałem okazję przyjrzeć się miasteczku Soldotna, w którym mieszkał Douglas oraz gdzie znajdowała się siedziba Narodowej Ostoja Przyrody Kenai (Kenai National Wildlife Refuge). Kenai był pierwszym parkiem, w którym planowałem spędzić najbliższe pięć tygodni, w ramach stażu naukowego w trzech różnych przyrodniczych obszarach chronionych Alaski. Wybrałem ten park z kilku powodów. Po pierwsze był on położony na Półwyspie Kenai (południe Alaski) otoczonym zewsząd przez wody Oceanu Spokojnego, dzięki czemu miałem możliwość poznania alaskańskiej flory i fauny charakterystycznej dla klimatu morskiego oraz terenów górskich. Po drugie park położony był stosunkowo blisko Anchorage (w prostej linii ok. 100 km), co zdecydowanie ułatwiało transport z lotniska oraz obniżało koszty podróży.

Kenai jest jedną z szesnastu ostoja przyrody znajdujących się na obszarze Alaski, które wchodzą w skład amerykańskiej sieci przyrodniczych obszarów chronionych o nazwie U. S. Fish and Wildlife Service. Zadaniem tej instytucji rządowej jest ochrona przyrody ożywionej, tzn. poszczególnych gatunków roślin i zwierząt należących do tutejszych ekosystemów. O znaczeniu ochrony przyrody na Alasce może świadczyć fakt, iż wszystkie alaskańskie ostoje przyrody zajmują łącznie ponad 311 000 km² powierzchni, a więc tyle ile cała Polska. Ostoja Przyrody Kenai jest jednym z najstarszych parków na Alasce – została założona w 1941 r. w celu ochrony gatunkowej łosia alaskańskiego. Obecnie zajmuje 7776 km² powierzchni, co oznacza, że jest 13 razy większa od Biebrzańskiego Parku Narodowego – największego parku narodowego w Polsce.

Samo miasteczko nie zrobiło na mnie specjalnego wrażenia. Może dlatego, że przy tak pochmurnej aurze wszystko wydawało się być takie szare i obce, a może po prostu dlatego, że Soldotna składała się w głównej mierze z szerokiej drogi biegnącej przez jej środek oraz niskich zabudowań położonych wzdłuż trasy. Układ miasteczka oraz lokalna architektura przywoływały mi na myśl oglądane w Polsce amerykańskie westerny, w których każda osada na Dzikim Zachodzie wyglądała podobnie i składała się z ciągu drewnianych, najczęściej parterowych budynków położonych wzdłuż szerokiej drogi, po której od czasu do czasu pędził dyliżans lub pijani kowboje wracający z saloonu.

W trakcie przejażdżki oraz trwającej w międzyczasie konwersacji Douglas uświadomił mi, że w Stanach Zjednoczonych powszechnym zjawiskiem jest skracanie wyrazów oraz upraszczanie form językowych, dlatego też przyzwyczaił się już do tego, że wszyscy zwracają się do niego per „Doug”, zamiast używać pełnego brzmienia imienia. Zjawisko to wydało mi się być przejawem zwykłego lenistwa, a ponieważ wiadomym jest, że w każdym społeczeństwie poziom wygodnictwa systematycznie wzrasta wraz z kolejnymi pokoleniami można spodziewać się, iż za kilkadziesiąt lat skrót „Doug” zastąpi kolejne, jeszcze dalej idące uproszczenie, np. „Do”. Z pewnością nikt wtedy nie będzie już pamiętał, że jego pierwowzorem było oryginalnie brzmiące imię Douglas.

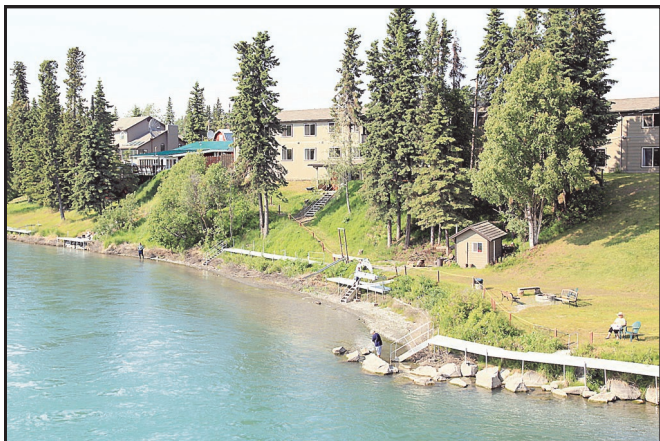


Fot.53 Architektura miasteczka Soldotna

Po kilkunastu minutach jazdy przez miasteczko zjechaliśmy z głównego ciągu komunikacyjnego skręcając w boczną, szutrową drogę prowadzącą w głąb lasu. W pewnym momencie w jego wnętrzu pojawił się sporej wielkości parking, przy którym stał duży, z zewnątrz wyglądający na drewniany, budynek siedziby parku Kenai. Elewacja budynku była bardzo ładnie wykończona, teren wokół zadbane i uporządkowany, trawniki elegancko przystrzyżone, a na wysokim, metalowym słupie łopotały na wietrze dwie flagi: narodowa Stanów Zjednoczonych oraz druga z logo federalnego departamentu zajmującego się ochroną przyrody w tym kraju (U. S. Department of the Interior). Douglas zaprowadził mnie do wnętrza budynku, po czym – wędrując od biura do biura – pokazał całą siedzibę parku równocześnie przedstawiając mi poszczególnym jego pracownikom. W ten sposób, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, już w pierwszy dzień pobytu na Alasce poznałem trzy osoby mające polskie korzenie, a byli to w kolejności:

Elizabeth Jozwiak – biolog i pracownik działu przyrodniczego, Michelle Ostrowski zatrudniona w dziale edukacyjnym oraz Samuel Drown – student i jednocześnie sezonowy pra-

cownik straży pożarnej. Gdyby miesiąc temu, gdy byłem jeszcze w Polsce, ktoś powiedział mi, że spotkam rodaków na Alasce, czyli de facto na drugim końcu świata i do tego jeszcze w parku, do którego się wybieram nigdy bym w to nie uwierzył! Szybko okazało się jednak, że z całej trójki tylko Elizabeth potrafiła posługiwać się względnie poprawną polszczyzną, Samuel znał jedynie pojedyncze słowa, np. „pierogi”, natomiast Michelle w ogóle nie była chętna do rozmów – zupełnie jakby wstydziła się swoich polskich korzeni. Przez chwilę porozmawiałem po polsku z Elizabeth, dowiedziałem się, że znaczna część jej rodziny mieszka w Chicago, a ona sama pochodzi z Suwałk, gdzie była ostatni raz kilkanaście lat temu.



Fot.54 Część zabudowań Soldotny przy rzece Kenai

Dużo wiedziała o Polsce, pamiętała wiele rzeczy z dawnych lat – jeszcze z czasów tzw. „komuny” oraz z pierwszej połowy lat 90. XX wieku, kiedy to nasz kraj wkroczył na drogę gwałtownych przemian polityczno-gospodarczych. Rozmowie przysłuchiwał się z uwagą Douglas, który po jej zakończeniu stwierdził, że jest to bardzo dziwne uczucie, gdy słyszy się czyjąś rozmowę, ale nie rozumie z tego ani słowa. Odniosłem wrażenie, że chyba nie przypadł mu do gustu nasz język, gdyż jak sam to zauważył pełno w nim było skrzypiąco-szeleszczących dźwięków. Pierwsze wrażenia, jakie odniosłem z rozmów z poszczególnymi pracownikami parku Kenai, były bardzo pozytywne – wszyscy starali się być dla mnie mili, często uśmiechali się i niemal każdy próbował chwilę porozmawiać oraz dowiedzieć się skąd jestem, czym się zajmuję i po co przyjechałem z tak daleka. Ogólna atmosfera była zdecydowanie na plus, np. Douglas pokazał mi wiszącą na ścianie dużą tablicę opisującą strukturę zatrudnienia w parku i tam – obok zdjęć dyrektora i jego zastępcy – pojawiła się moja fotka z podpisem shadow (z ang. cień).

Okazało się więc, że chociaż formalnie zostałem przyjęty do parku jako wolontariusz to w praktyce będę obserwatorem, który niczym cień będzie podążał za poszczególnymi pracownikami poznając charakter ich pracy. W gruncie rzeczy taki właśnie był główny cel mojej wizyty na Alasce – dowiedzieć się w jaki sposób Amerykanie chronią swoją przyrodę. Ucieszyłem się więc, że moja koncepcja stażu w parku Kenai została w pełni zaakceptowana przez jego dyrektora. Gdy poznałem już większość pracowników Deborah Perez, czyli osoba od spraw administracyjno-organizacyjnych, wręczyła mi klucz do drewnianego domku (z ang. cabin), w którym miałem mieszkać przez następne pięć tygodni, po czym Douglas zawiózł mnie do kompleksu mieszkalnego wolontariuszy położonego w głębi lasu.

Domek, z wyglądu przypominający nieco polską leśniczówkę, został zbudowany z całych świerkowych bali i był wierną kopią drewnianych chat, w jakich do tej pory mieszkają na Alasce myśliwi i traperzy, czyli tzw. łowcy skór. Okazało się, że będę w nim mieszkał z dwoma lub trzema studentami, którzy zostali zatrudnieni w Kenai jako sezonowi strażacy. Gdy wszedłem do środka owej leśniczówki poczułem się

jak w góralskiej chacie: wszystko wykonane było z drewna, w ścianach widoczne były grube, świerkowe bale, a wzdłuż nich stały dwa łózka piętrowe, lodówka, piecyk elektryczny oraz po jednej szafie na garderobę. Móc mieszkać w takim miejscu było od zawsze moim wielkim marzeniem. Rzuciłem bagaże na podłogę, otworzyłem walizkę i plecak, a następnie zabrałem się za rozpakowanie swoich rzeczy.

Wczesnym popołudniem przed drewniany domek zajechał swoim dżipem Douglas, który niemal z marszu zabrał mnie do Soldotny na zakupy. Vice dyrektor potwierdził, że tak jak to było wcześniej ustalone park nie tylko zapewni bezpłatny nocleg na czas mojego pobytu w Kenai, ale również pokryje koszty mojego utrzymania. Prawdę mówiąc spodziewałem się, że będę musiał dokładać do życia z własnych, przywiezionych z Polski oszczędności, tymczasem zaproponowany przez Douglasa dzienny limit wydatków w kwocie 20 dolarów wydał mi się bardzo atrakcyjną ofertą. Jak się potem okazało tyle właśnie wynosiła standardowa stawka dla każdego wolontariusza przyjętego do pracy w parku Kenai.

Po kwadransie jazdy zatrzymaliśmy się na dużym parkingu położonym przy jednym z tutejszych hipermarketów. Z wiadomych powodów na Alasce nikt nie słyszał o typowo europejskich markach, takich jak Carrefour, Geant, Leclerc czy też Tesco, natomiast dwie najbardziej znane i zapewne dominujące sieci hipermarketów to Subway oraz Fred Meyer. To właśnie do tego ostatniego przywiózł mnie Douglas, który okazał się być na tyle uprzejmym człowiekiem, że nie poprzestał tylko na roli kierowcy, ale poświęcił swój cenny czas i pomógł mi odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Między innymi za własne pieniądze kupił dla mnie uniwersalną wtyczkę do gniazdka elektrycznego umożliwiającą dopinanie do niej różnych, np. europejskich, końcówek. Gdy dowiedziałem się już gdzie są wózki, kasy oraz poszczególne działy umówiłem się z Douglasem, żeby przyjechał po mnie za trzy godziny (miał coś jeszcze do załatwienia), a ja w tym czasie spokojnie zrobię zakupy.



Fot.55 Drewniana leśniczówka na Płw. Kenai

Pchając przed sobą metalowy wózek wjechałem w głąb przestronnej hali rozglądając się uważnie dookoła. Pierwsze, najbardziej ogólne wrażenia, jakie odniosłem po pięciu minutach kursowania wśród regałów sklepu sprowadzały się do konkluzji, iż polskie hipermarkety w niczym nie ustępują amerykańskim, zarówno pod względem wielkości samych obiektów jak i też jakości sprzedawanych towarów. Oczywiście widać było pewne różnice, np. asortyment produktów u Freda Meyera był nieco większy niż w naszym kraju, dotyczyło to zwłaszcza artykułów spożywczych, ale generalnie nie powinniśmy mieć żadnych kompleksów z tego tytułu. Jedną rzecz, która zdecydowanie odróżnia hipermarket polski od amerykańskiego to wielkość działu z mrożonkami.

W Polsce jest on zazwyczaj niewielki, a ruch na nim też do największych nie należy. Tutaj na Alasce było dokładnie odwrotnie – gdy stanąłem na końcu takiego działu zobaczyłem ciągnący się na kilkadziesiąt metrów, podwójny rząd ogrom-

nych zamrażarek wypchanych po brzegi całą masą różnego rodzaju opakowań, w większości zawierających gotowe „dania”, czyli popularny fast food, tyle że w wersji mrożonkowej. Ruch tutaj był bardzo duży, dosłownie nie było chwili żeby któraś z ogromnych chłodni nie była otwierana lub zamykana. Po kilku minutach przebywania w tym miejscu zaczynałem zastanawiać się w jaki sposób prowadzone są w Stanach Zjednoczonych gospodarstwa domowe, skoro najważniejszym elementem wyposażenia ich kuchni jest mikrofalówka. Z głębokiego zamyślenia wyrwał mnie nagle czyjś głos.

– Excuse me sir.

Szybko odwróciłem głowę. Obserwując klientów kupujących mrożonki nawet nie zauważyłem kiedy po mojej lewej stronie pojawiła się jakaś przysadzista pani, której mój wózek – jak się właśnie okazało – stał na drodze do dalszych działów hipermarketu. Moje zdumienie nie wywołała jej tusza, bo do zapasionych Amerykanów zdążyłem się już przyzwyczaić, ale raczej sposób w jaki przemieszczała się po hali. Z wygodnictwa lub lenistwa, a może i z jednego i z drugiego, zrezygnowała ze spaceru na własnych nogach oraz klasycznego pchania przed sobą wózka lub noszenia w ręce koszyka, lecz... najnormalniej w świecie wsiadła do niewielkiego pojazdu o napędzie elektrycznym, po czym jeździła nim pomiędzy półkami wkładając zakupy do otwartego z przodu bagażnika.



Fot.56 Sklep wędkarski w miasteczku Soldotna

Dla mnie to już był szczyt lenistwa i gruba przesada, ale w gruncie rzeczy kobieta sama sobie robiła krzywdę, więc nie wypadało mi nawet postukać się w głowę. Mogłem tylko przypuszczać, że jeżeli takie przypadki nie są czymś niezwykłym to oznacza to ni mniej ni więcej, że społeczeństwo amerykańskie ulega powolnej, fizycznej degeneracji. W jej wyniku w przyszłości ludzie zapewne nie będą w stanie sami wykonywać nawet prostych czynności wymagających pracy mięśni oraz minimalnej motoryki ciała. Jakby na potwierdzenie tych słów przede mną pojawiła się nagle młoda dziewczyna, której ładne oczy mówiły, że nie ma nawet 20 lat, natomiast przerosnięte, otyłe ciało z faldami tłuszczu wystającymi poza spodnie wskazywało na wiek przynajmniej dwukrotnie większy. Coś strasznego! Jakie życie trzeba wieść żeby doprowadzić się do takiego stanu w tak młodym wieku? No cóż, czas uciekał na rozmyślaniach i obserwacjach, a mój koszyk wciąż świecił pustkami, więc chyba nadeszła najwyższa pora abym zabrał się za zakupy.

Szerokim łukiem ominąłem lady z mięsem, które nie dość, że swoim wyglądem nie wzbudzało we mnie nawet minimalnego zaufania to na dodatek było bardzo drogie. W dziale z przetworami mlecznymi kupiłem dwie półgalonowe (ok. dwulitrowe) butelki mleka, dużą kostkę żółtego sera, opakowanie masła z dodatkiem oleju rzepakowego (z ang. canola oil), kilka jogurtów oraz parę opakowań musli, które w Stanach nazywane jest granola. Mając już w koszyku spory zapas nabiału pozostało poszukać jeszcze chleba. Minęło trochę czasu zanim w końcu znalazłem odpowiedni dział oraz półki z pieczywem. Do tego momentu miałem pewien komfort psychicz-

ny w trakcie robienia zakupów, ponieważ ze względu na duże podobieństwo otoczenia cały czas wydawało mi się, że nie ma większych różnic w jakości żywności pomiędzy Polską a Stanami Zjednoczonymi. To złudzenie prysło jak mydlana bańka z chwilą, gdy wziąłem do ręki bochenek amerykańskiego chleba. Właściwie trudno to było nazwać chlebem, z wyglądu przypominał raczej słynne angielskie tosty, a w konsystencji gąbkę używaną do kąpieli. Gdy nikt nie patrzył ścisnąłem oburącz bochenek i bez większego wysiłku sprasowałem go do wielkości polskiej bułki kajzerki.



Fot.57 Bardzo popularna na Alasce hybryda samochodu osobowego i przyczepy kempingowej

„No to pięknie – pomyślałem – że też zachciało mi się przyjeżdżać do tej Ameryki. Ciekaw jestem jak mój żołądek zniesie takie pseudo pieczywko”. Przy okazji rzuciłem okiem na spis składników wykorzystanych do wypieku tego „chleba” i niemal natychmiast pożałowałem swojej ciekawości. Było ich ponad trzydzieści, zupełnie jakby w tutejszej piekarni wykorzystywano do wypieku pieczywa połowę tablicy Mendelejewa. Niektóre składniki były całkiem zwyczajne, np. woda, sól czy kilka rodzajów mąki, ale już pełnym udziwnieniem była dla mnie obecność całej gamy sztucznych witamin oraz mikro- i makroelementów. Miałem ochotę zapytać kręcącego się w pobliżu sprzedawcę czy to jest chleb czy może suplement diety dla sportowców? Gdzieś pomiędzy licznymi składnikami zauważyłem też chemiczne brzmiące nazwy – zapewne konserwanty, spulchniacze lub inne udoskonalenia co wskazywało, iż ten „chleb” najprawdopodobniej nigdy się nie zepsuje i będzie mógł leżeć na stole tygodniami. I pomyśleć, że w Polsce można jeszcze kupić prawdziwy chleb zrobiony na zakwasie, który składa się praktycznie tylko z żytniej mąki, wody oraz soli. Ech to amerykańskie jedzenie...

Lekko podłamany podreptałem na stoisko z warzywami i owocami. Tutaj na szczęście obyło się bez przykrych niespodzianek, więc po chwili w koszyku leżały już jabłka, banany, grejfruty, cytryny, marchew oraz pieczarki. Ceny owoców były dosyć wysokie, ale nie wahałem się z ich kupnem ani chwili – przecież w końcu trzeba coś jeść. Po wizycie w „warzywniaku” pozostało mi jeszcze do przemyślenia co miałbym gotować sobie na obiady, ale ta kwestia wyjaśniła się sama, gdy kilka regałów dalej zobaczyłem przetwory z warzyw. Nie namyślając się długo kupiłem po kilka puszek kukurydzy, całych lecz obranych pomidorów oraz fasolki szparagowej. Składniki warzywnego obiadu uzupełniłem dużą paczką brązowego ryżu, po czym powędrowałem dalej w poszukiwaniu najważniejszego elementu mojej diety – wody mineralnej.

I tutaj kolejne zaskoczenie. Obszedłem dosłownie cały hipermarket i nigdzie nie znalazłem butelkowanej, naturalnej wody mineralnej. Prawie lezka mi się w oku zakręciła, gdy przypomniałem sobie naszą polską „Kryniankę”, „Krakowiankę” czy też „Muszyniankę”. W końcu trafiłem na jakąś wodę, patrzę na etykiety, a tu woda destylowana oraz woda źródłana – obydwie pozbawione jakichkolwiek składni-

ków mineralnych. Woda źródłana tym tylko różniła się od destylowanej, że miała pochodzenie naturalne (zapewne z lodowców), a nie z laboratorium chemicznego. Było to dla mnie co najmniej niezrozumiałe, że Amerykanie na siłę wypychają do chleba sztuczne witaminy oraz mikro- i makroelementy, natomiast jak ognia unikają naturalnych składników mineralnych rozpuszczonych w wodzie pitnej, które w tej postaci są znacznie łatwiej przyswajalne dla organizmu. Jak widać co kraj to obyczaj, tak więc chcąc nie chcąc ściągnąłem z półki całą zgrzewkę górskiej wody źródlanej, po czym skierowałem się ku kasom. Po drodze kupiłem jeszcze kilka czekolad (źródło magnezu i energii), szampon oraz kartę telefoniczną na rozmowy międzynarodowe.



Fot.58 Jezioro Kenai otoczone pasmem górskim

W kasach też widać było od razu, że nie jestem już w Polsce – kasjerki obsługiwały klientów na stojąco i nie dość, że same pakowały zakupy do papierowych toreb to jeszcze robiły to w tak błyskawicznym tempie, że człowiek ledwie nadążał z wkładaniem zakupów do koszyka. Ściągnięcie należności z karty kredytowej było już tylko czystą formalnością. Skrupulatnie schowałem do portfela wydruk z kasy, bowiem zgodnie z ustaleniami Douglasa tylko na podstawie paragonów ze sklepu będę mógł później ubiegać się w parku o zwrot kosztów utrzymania. Do przyjazdu vice dyrektora pozostało jeszcze pół godziny, więc po odejściu od kas usiadłem sobie spokojnie na pobliskiej ławeczce i mając przy sobie wózek z zakupami zacząłem przyglądać się mijającym mnie ludziom. Jedną rzecz zwróciła moją uwagę od razu, a mianowicie widoczne było to, że mieszkający na Alasce Amerykanie nie przywiązują większej wagi do tego jak się ubierają, jak wyglądają, ani tym bardziej w jaki sposób odbierani są przez otoczenie. Widzia-

łem ludzi ubranych całkowicie bez gustu, kobietę w średnim wieku, która przyszła na zakupy ubrana chyba w piżamę oraz starszego pana, który wyglądał tak jakby dopiero co wrócił z polowania w głębi puszczy. Nikt się tutaj nie przejmując takimi drobiazgami i co najważniejsze nikt nikogo nie ocenia na podstawie wyglądu. W przeciwieństwie do tego co dzieje się w Polsce tutaj nie widziałem żeby ktokolwiek kogokolwiek mierzył z góry na dół i na podstawie wartości noszonego ubrania oceniał status społeczny człowieka. Moim zdaniem takie podejście jest prawidłowe i wiele bym dał, żeby moi rodacy nauczyli się tego od Amerykanów.

Z drugiej strony zauważyłem, że u części Amerykanów ten luźny sposób bycia przeradza się w jakiś taki nihilistyczny styl zachowania. Niektórzy – zwłaszcza młodzi – są mocno wytatuowani w miejscach dobrze widocznych, tzn. na rękach i szyi, mają dużo metalowych kolczyków, kółek i innych „ozdób” powbijanych na twarzy dosłownie gdzie popadnie, a przy tym w taki sposób noszą na sobie ubrania, jakby ledwie one na nich wisiały i dosłownie zaraz miały spaść na podłogę. Byłem szczególnie zdegustowany niektórymi młodymi Amerykankami, które ostentacyjnie demonstrowały swoje tuste tyłki oraz warstwy sadła przelewające się przez sprane dżinsy. Żadnej skromności i niewiele kobiecości, dla mnie było to wszystko jakieś takie prostackie...

W pewnym momencie w polu widzenia zobaczyłem rozglądającego się za mną Douglasa, więc kiwnąłem na niego ręką i ruszyłem z miejsca, po czym razem poszliśmy na parking. Po powrocie do leśniczówki zabrałem się za układanie zapasów, dokończyłem rozpakowywanie rzeczy i zjadłem lekką kolację. Resztę wieczoru spędziłem na poznawaniu najbliższego otoczenia mojego nowego domu, dzięki czemu dowiedziałem się m. in. gdzie są łazienki, ubikacje oraz pralnia, z której mogą bezpłatnie korzystać wszyscy wolontariusze zatrudnieni w parku. Pomimo tego, że na dworze wciąż było jasno około godziny 22:00 poczułem się tak zmęczony, że dosłownie padłem do łóżka jak zabity i niemal natychmiast usnąłem.

c.d. w następnym numerze

Więcej informacji na temat wyprawy na Alaskę można znaleźć na stronie internetowej Autora www.sebastianbielak.pl oraz w jego najnowszej książce pt. „Parki narodowe i rezerwaty Alaski”

Sebastian R. Bielak



19 września w Salonie Domu Urbańczyka – Muzeum w Chrzanowie, miał miejsce Wieczór poetycki Lucyny Szubel. Autorka 45 zbiorów wierszy prezentowała poezję z ostatnio wydanych tomików: *Świątokrzyskie świetliki* i *Dotyk światła*.

Promocyjny wieczór zbiegł się z Jubileuszem 45-lecia pracy literackiej i działalności kulturotwórczej. Na tę okoliczność Lucyna Szubel otrzymała prestiżową nagrodę Specjalną przyznaną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Warszawie.

Wrzesień 2012



Fot.59 p. Lucyna Szubel